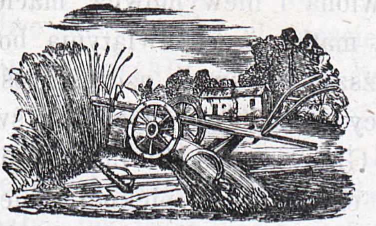
Tom IV. 1. Września 1871. Nr. 7.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Cyrus, król Persów.

(Dokończenie).

— Jakto? zapytał urażony król, a któż to był ten Tellus?

— Był to obywatel Ateński, żyjący w najświetniejszych czasach tego państwa; miał piękne i dobre dzieci, doczekał się wnuków i nawet prawnuków, a wszystkie przy życiu i dobrem zdrowiu zostawały. Był poczciwy, miał szacunek u ludzi i dostateczne utrzymanie, jednem słowem był szczęśliwy; w podeszłym wieku poległ w szczęśliwej bitwie za ojczyznę, a pamięć jego żyje dotąd w sercach ziomków.

— Dobrze, rzekł dalej Krezus, ale kogoż po nim masz za najszczęśliwszego?

— Dwóch greckich młodzieńców z Argos, Kleobisa i Bitona: byli to bracia rodzeni, obaj obdarzeni nadzwyczajną siłą i zręcznością, i na publicznych igrzyskach nieraz odnosili zwycięztwo. Nietylko, że się obaj wzajemnie bardzo kochali, ale nadto najżywszą pałali miłością ku swej sędziwej matce, która była kapłanką. Ta razu pewnego w dzień uroczysty, musiała jechać ku dosyć odległej świątyni, a ponieważ jej woły nie przyszły na oznaczoną godzinę, przywiązani synowie zaprzęgli się sami do woza, i zawieźli matkę swą do świątyni. Gdy zgromadzony lud ujrzał tak rzadki postępek, gdy mężowie

wielbili ich męztwo, a niewiasty winszowały matce takich dzieci, uszczęśliwiona i niewymowną macierzyńską wzruszona miłością, uklękła matka przed świątynią bogini, i błagała aby jej synów najwyższą udarowała szczęśliwością. Jakoż po uczcie znużeni młodzieńcy zasnęli w przysionku świątyni, — i nie obudzili się więcej. Grecy wystawili im pomniki dla uwiecznienia tak chwalebnego czynu, i tak pięknej śmierci.

— O niebaczny przychodniu, — zawołał urażony król, — także to mało cenisz moje dostatki, że mnie z prostym obywatelem porównać nie chcesz?

Lecz Solon odpowiedział:

— O Krezusie! nieraz ubogi człowiek szczęśliwszym jest od bogacza. A nadto, kiedy pomnę, jak wszystko zmienne jest na świecie, jakże cię mam szczęśliwym nazwać, gdy nie wiem co cię jeszcze spotkać może? Liczą życie ludzkie na lat 70, to czyni 25.000 dni, z których żaden do drugiego nie jest podobnym Możnaż więc człowieka, przy takiej zmienności fortuny za życia nazwać szczęśliwym Jesteś bogatym i potężnym królem, jednak nie wprzódy nazwę cię szczęśliwym, aż koniec życia twego szczęśliwym zobaczę. Albowiem Bóg nie jednego obsypał dobrodziejstwami swemi, aby go potem zaślepionego szczęściem w tem większą pogrążyć przepaść!

Tak mówił mędrzec, ale Krezusowi nie w smak poszły jego słowa; oddalił więc od siebie Solona jako prostaka, który się na jego wielkości nie poznał. Lecz smutne doświadczenie wywiodło króla z tego omamienia. Stracił wkrótce syna, który przypadkiem na łowach był zabity, a pozostały drugi syn był głuchy i niemy. Lecz jeszcze daleko większe spotkać go miało nieszczęście. Jak wyżej powiedzieliśmy chciał Krezus pomścić krzywdy teścia Astyagesa, i liczne wystawił i uzbroił wojsko przeciw Cyrusowi. Wyruszył z tem wojskiem w pole, przeszedł rzekę Halys, i wkrótce spotkał się z nieprzyjacielem. Zacięta była bitwa, nikt właściwie nie zwyciężył, gdyż noc ciemna okropnej rzezi koniec położyła. Krezus cofnął się do stołecznego miasta swego Sardes, i popełnił tę nieostrożność, iż rozpuścił znaczną część wojska. Miał on zamiar dopiero na wiosnę połączyć się ze swymi królami przyjaciołmi, i groźniej

przeciw nieprzyjacielowi wystąpić. Ale Persowie nie czekali tego czasu. Ledwo król stanął w mieście, aliści Cyrus do szybkiego działania przywykły, pokazuje się z wojskiem przed bramami stolicy. Tu przyszło do drugiej morderczej bitwy, w której Krezus na głowę pobity został. Z mieczem w ręku wpadły rozjuszone wojska Cyrusowe do miasta Sardes i wszystko w pień wycinały. Już jeden perski żołnierz podniósł miecz na zabicie nieznajomego i w tłumie się ukrywającego króla Krezusa, gdy jego od urodzenia niemy syn, któremu nadzwyczajna trwoga język rozwiązała, głośno zawołał: „nie zabijaj Krezusa!“ Zaprowadzono więc Krezusa przed Cyrusa. Ten wydał rozkaz, aby go żywcem spalono Natychmiast posłuszni żołnierze ułożyli stos i postawili na nim nieszczęsnego króla. Już płomienie buchały jasno, kiedy nieszczęśliwy Krezus przypomniał sobie słowa greckiego mędrca, ocknął się z odrętwienia i wśród głębokiej ciszy zgromadzonego ludu, po trzykroć głośno wykrzyknął: „o Solonie! Solonie! Solonie!“ Cyrus, ciekawy dowiedzieć się coby te słowa znaczyły, kazał go rozwiązać. Z początku milczał Krezus, ale potem odezwał się: „wzywam człowieka, którego rozmowa ze mną wszystkim królom na świecie pamiętną by być powinna“. Poczem opowiedział Cyrusowi całą swą z Solonem rozmowę.

Opowiadanie to wzruszyło Cyrusa do żywego; pomniał on, że jest także człowiekiem podległym zmienności losów, darował życie Krezusowi, i zatrzymał go przy sobie, ale nie jako niewolnika, lecz jako przyjaciela i doradzcę.

To zwycięztwo nad Krezusem odniesione, przeraziło trwogą całą Azyę, a szczególniej ku zachodniemu wybrzeżu osiadłych Greków. Dawniej Cyrus im swą przyjaźń i przymierze ofiarowywał, lecz dumni Grecy odrzucili je ze wzgardą i chcieli się nawet z Krezusem połączyć. Teraz więc w trwodze spiesznie posłów do Cyrusa wyprawili, którzy w ich imieniu o zgodę upraszali. A Cyrus zamiast zgody, opowiedział im następującą bajkę:

— Był jeden rybak, który długo nad brzegiem wody siedział i gwizdał rybom do tańca. Ale ryby wcale go nie słuchały. Rozgniewany rybak zapuścił swe siecie i wyłowił ryby.

Gdy więc siecie na ląd wyciągał, i ryby koło niego skakać poczęły, rzekł do nich: teraz przestańcie tańczyć, kiedyście mnie dawniej słuchać nie chciały.

Zapóźno więc wybrali się Grecy z prośbą o pokój i zgodę. Cyrus wysłał jednego z wojowników swych i ten podbił ich kraj. Sam Cyrus uderzył na państwo assyryjskie i obległ główne miasto Babilon. Ponieważ przemocą trudno było zdobyć tak potężne i wielkie miasto, użył przeto Cyrus podstępu. Podczas ciemnej nocy, gdy właśnie mieszkańcy Babilonu uroczystość wielką w mieście obchodzili, spuścił Cyrus gdzieindziej koryto rzeki Eufratu, która to rzeka przez to miasto płynęła, a żołnierze jego przez suche łożysko rzeki weszli do miasta, i napadli niespodzianie biesiadujących mieszkańców. Tym sposobem jednej nocy stał się panem stolicy i całego kraju, a ogromne państwo perskie rozciągało się już teraz od morza śródziemnego aż do odległego kraju Indji.

Zapomniał Cyrus nauki mędrca Solona, której przykład na królu Krezusie widział. Duma jego, żądza panowania nie miała granic. Nie dość że już tyle krajów podbił i uciemiężył, jemu jeszcze więcej się zachciewało. To też wkrótce i słuszna przyszła nań kara.

Za morzem Kaspijskiem mieszkał ubogi ale bitny naród Masagetów. Cyrus umyślił i ten naród podbić. Królowa tego ludu, Tomiris, ofiarowała Cyrusowi przymierze i rękę swoją na znak zgody, lecz śmiały wojownik odrzucił te warunki. Wkroczył ze zwycięzkiem wojskiem swem w głąb kraju, zbił Masagetów, i wziął nawet w niewolę syna królowej. Nieszczęśliwa Tomiris wezwała w tej niedoli cały swój naród do zaciętej walki, w której wojsko Perskie pobite zostało, a sam Cyrus poległ. Mściwa Królowa kazała głowę Cyrusowi uciąć i zanurzyć ją w naczyniu krwią napełnionem, z temi słowy: „Teraz się nasyć okrótny człowieku krwią, której zawsze pragnąłeś."

Taki był koniec tego króla.

Dziadek.

Sucha na ogniu trzaska brzezina,
Siadł sobie dziadek wedle komina;
I gdy ogniska łuna czerwona
Drżącym promieniem strzela do koła,
Gdy w ręku dziewek warczą wrzeciona,
A chłopcy ciche schylają czoła,
Nim przed północą płomień dogaśnie,
Prawi drużynie dni dawnych baśnie:
Przed wieki, przed laty, czasami dawnemi,
Nad Gopła jeziora wodami srebrnemi,
    Wznosiła się chata uboga:
Dach na niej słomiany, z modrzewich kłód ściany,
W podwórku na starym jesionie bociany,
    A kamień omszony u proga.
W tej chacie z modrzewiu, żył rolnik poczciwy,
Co wzięty po ojcach rodzinny łan niwy,
    Użyznił gorącym swym znojem.
I wstając do pracy z poranną jutrzenką,
Pobożną się w troskach pokrzepiał piosenką,
    Pieśń świętym umacniał pokojem.
Piast było mu miano — żył cicho w swej chacie,
Szczęśliwy w siermiędze, jak pany w szkarłacie;
    Szczęśliwy, bo więcej nie żądał.
I dobrze mu było na Bożym tym świecie;
Kochaną małżonkę, nadobne miał dziecię,
    A w przyszłość z nadzieją poglądał.
Tak życie poczciwe, płynęło powoli:
To z kosą na błoniach, to z sochą na roli
    Pracując w miłości i wierze.
A kiedy domową opatrzył zagrodę,
Wypuszczał łódź małą na srebrnych fal wodę,
    I płynął na drugie wybrzeże.
Tam stała pasieka; w lip gaju ciernistym,
Bujały pszczół roje, po śniegu kwiecistym,
    W około swej Matki-Królowej.
A skrzętny gospodarz dwa razy do roku
Podbierał plon słodki, z rodzinnych ziół soku,
    Na napój posilny i zdrowy.
Raz kiedy wracajęc z wiosennym swym zbiorem,
Przeprawił się z synem, wód srebrnych jeziorem,
    . Do cichej się spiesząc zagrody,

Tłum ludzi nieznanych na drodze spotyka,
I jako się godzi zwyczajem bartnika
Złotemi częstuje ich miody.
A potem, gdy chata wśród drzewin tuż blisko,
Zaprasza przybyszów przed ojców ognisko,
W gościnne choć niskie swe progi,
Więc idą panowie, dostojni wietnicy,
Co księcia wybierać przybyli w Kruświcy,
Tłum spieszy wspaniały a mnogi.
Piast z żoną i synem wynosi co może:
Miód, piwo, kołacze — lecz pożal się Boże,
Któż rzeszy tej licznej wydoła?
Zasiedli na ławach, kołaczem się dzielą,
Lirnicy biesiadę piosenką weselą,
A czara okrąża do koła,
Lecz dziwo nad dziwy! choć piją i jedzą,
I radząc wesoło za stołem w rzęd siedzą,
Podobni do gwarnych pszczół roju;
Nikomu z drużyny na niczém nie zbywa
Na misach cudownie przyrosło mięsiwa,
Przysparza się w dzbanach napoju.
A kiedy w pośrodku wesołych swych gości
Piast zdjęty uczuciem pobożnéj wdzięczności,
Śle w Niebo wzrok cichej podzięki,
Spostrzega wśród tłumu dwóch obcych młodzieńców
Od czoła im bije promiennych blask wieńców
Jak światło wschodzącej jutrzenki.
I jasność niebieska w pogodnem lśni oku:
Przechodzą wśród gości gwarnego natłoku,
Z słodyczy uśmiechem czarownym.
A w którą ich kroki obrócą się stronę
Tam białe kołacze, tam miody sycone
Sposobem się mnożą cudownym.
Więc płyną strumieniem złociste nektary,
Drużyna ochoczo wychyla puchary;
Brzmią pieśni, wesoły gwar wzrasta.
A wieca zdumiona dostatkiem rolnika,
Zgodnemi go głosy na księcia wykrzyka,
Chcąc wodzem rządnego mieć Piasta.
I z chaty drewnianej, z pod strzechy ubogiej,
W pałaców wspaniałe prowadzą go progi,
Przy dźwiękach lirniczej piosenki;

I złotą koronę włożywszy na skronie
Na książąt wyniosłym sadzają go tronie
I berło podają do ręki:

. . . .

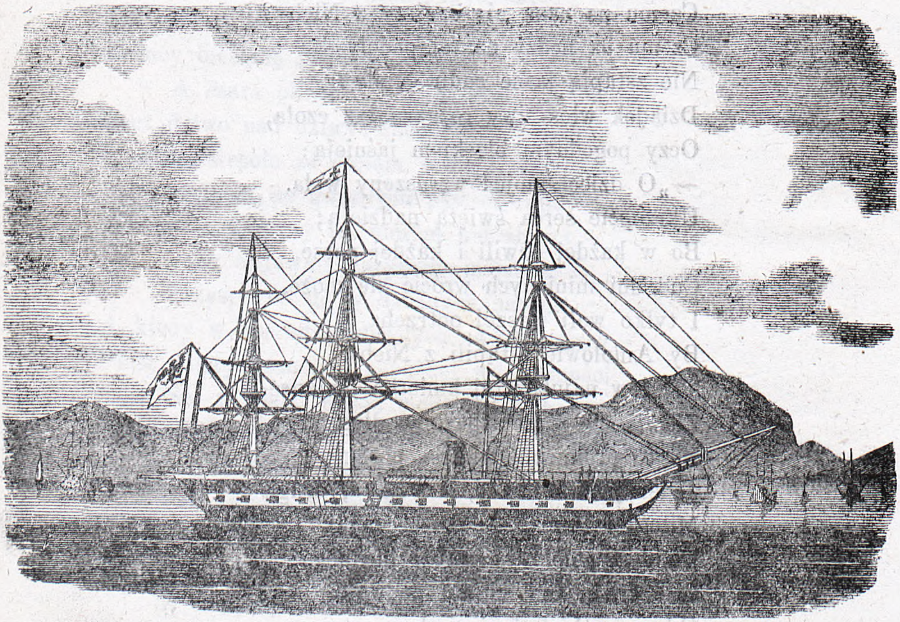
Zakończył dziadek powieści słowa,
Głęboka cisza w całej drużynie;
Tylko po licach srebrna łza płynie,
I oczów niema zdradza ich mowa:
—„Wśród chatek naszych troski i głody,
Nam powszedniego brakuje chleba,
Bóg który ojcom rozmnażał miody,
Czemu na syna nie spojrzy z Nieba?
Czemu na nędzy naszej padoły
Nie zstąpią jasne cudu anioły?“ —
Dziadek włos siwy rozgarnął z czoła,
Oczy pogodnym blaskiem jaśnieją:
—„O dzieci moje! wzruszony woła,
Ukrzepcie serca świętą nadzieją;
Bo w każdej chwili i każdej porze,
Cud dni minionych wrócić się może,
I tylko woli waszej potrzeba,
By Aniołowie zstąpili z Nieba.
Tak! w najuboższej kmiotka lepiance
Zjawia się stare zmazując długi,
Bo to promienne niebios posłańce:
Jeden jest M i ł o ś ć, a P r a c a, drugi.
Miłość i Praca! — dzieci moje,
To dwa anioły — stróże biednego:
One drewnianej chatki podwoje,
Od wszystkich życia pokus ustrzegą,
Bo anioł Pracy chleb wam rozmnoży,
Miłość go między braci rozdzieli;
I świat się cały w krąg uweseli,
A w serce pokój wstąpi wam Boży.

Marya Ilnicka.

Żegluga.

Człowiek, który sam jeden z pośród stworzeń rozumem jest obdarzony, od początku swego istnienia na kuli ziemskiej wiecznie przemyśliwał nad wynalezieniem lub udoskonaleniem

wszystkich środków, które mu życie ułatwiają, lub też wygód i przyjemności dostarczają. Gdy zwierzęta prawie wszystkie bronią jaką są opatrzone, jak wół rogami, koń kopytami, wieprz kłami, słoń trąbą itp., gdy wszystki zwierzęta szatę swą mają przyrodzoną i do natury swej zastosowaną, człowiek jeden tylko bezbronny i nagi rodzi się na ten świat boży. Za to dał mu Stwórca rozum, aby własną pracą te wszystkie niedostatki zastąpił, i przemysłem życie sobie ułatwiał. Dla obrony od zwierząt, wynalazł człowiek różne bronie, i doskonalił je wciąż



Odzież także z surowych skór, z któremi się początkowo dla wstydu i zimna okrywał, przemienił na wełnianą, płócienną i jedwabną i tp. Gdy człowiekowi chód jego zdał się powolnym i nużącym, wtedy ujeździł i ułaskawił konia i inne zwierzęta by go niosły i woziły, i w różnych pracach mu dopomagały. Ciekawym też bardzo, jak człowiek stał się panem morża i wód wszystkich.

Z początku z obawą spoglądali na wody, szczególniej na wielkie rzeki i na morza. Niejeden z ciekawości puścił się na taką wodę i życiem to przepłacił. A kusiła woda ludzi i ciekawiła bardzo. Przypatrywali się rybom jak to one swobodnie

pływają, widzieli inne zwierzęta pływające, spróbowali więc sami pływania. Po różnych próbach udało się to niejednemu. Ci więc pływacy ośmielili się i bliżej zapoznali z wodą. Widzieli jak woda pnie drzewa unosi, spróbowali więc pływać na tych pniach. Dla większej lekkości wydrążali te pnie, i wystruganemi wiosłami, jak ryba skrzelą, pruli fale wody. Z czasem zaczęli coraz większe takie czółna budować, aby więcej osób lub rzeczy pomieścić. Z brzegu puszczali się na wyspy, to jest kawałki ziemi z wody wystające i dokoła wodą oblane, z tych na dalsze wyspy, nareszcie trafiali w podróży na wielkie wyspy lub też nawet na kraje, do których wodą dopłynąć było można. Nieraz lądem trzeba było dużo czasu stracić, i długą odbyć drogę, a tu wodą daleko prędzej i krótszą drogą dostać się można. Przeto poczęli co raz bardziej powiększać i udoskanalać owe łodzie. Z czasem pobudowano całe gmachy jakby kamienice w mieście, tak wielkie, i puszczano je na wodę. Tu już siła wioseł była za małą. Cóż tedy robić aby taki gmach na wodzie popchnąć, aby płynął? Oto zauważano, że wiatr pędzi rzeczy na wodzie płynące, i że w czem większą przestrzeń ten wiatr dmucha, tem z większą siłą rzeczy na wodzie się poruszają. Ponieważ zaś okręt sam nie wielką wiatrowi przestrzeń podaje, a gdyby go większym jeszcze zrobić, to będzie za ciężki. przeto rozpięto na górze okrętu grube płótna na żerdziach, które to płótna żaglami się nazywają. W takie rozpięte żagle dmie wiatr i pędzi okręt na przód. Długo używano tych żagli, i nawet na mniejszych okrętach do dziś ich używają.

Sposób ten jednakowoż nie zupełnie okazał się dobrym. Nieraz chcieli ludzie n. p. w kierunku na południe jechać, więc trza wiatru który by z północy dął A tu jak na złość całymi tygodniami dmie wiatr z południu, zachodu lub wschodu. Więc trza było czekać pomyślnego wiatru, i czasu niemało tracić. To nie tak wielkie jeszcze nieszczęście. Ale nieraz puścili się ludzie z pomyślnym wiatrem od brzegu, ujechali kilkanaście alboteż kilkadziesiąt mil, w tem nagle wiatr ustaje, a okręt jak przymurowany stoi w pośrodku morza i całemi tygodniami czeka Bożego zmiłowania. Tu żywność się kończy, wody słod-

kiej do ugaszenia pragnienia nie ma (morska woda jest słonogorzka, i szkodzi niesłychanie zdrowiu ludzkiemu, tak że jej pić nie można). Rozpacz chwytała żeglarzy, narażeni byli na niechybną śmierć z głodu i pragnienia bez pomocy i ratunku. A nieraz znowu wiatr inny zupełnie i przeciwny zadął, lub też burza powstała i rzucała okrętem jak piłką po bałwanach morskich. Nieraz, gdy silny wiatr okręt uchwycił, to go z całą gwałtownością unosił i rzucał o skały podwodne, gdzie się okręt rozbijał, a ludzie tonęli.

Długo nie było na to sposobu. Aż w tym wieku dopiero przemysł ludzki i na to się zdobył. Oto siłą pary, którą znacie z pędzenia maszyn, z pędzenia wozów na koleji żelaznej, użyto do żeglugi na wodzie.

Przy tych okrętach, które parowemi nazywano, zdjęto zupełnie żagle, i wszelkie wiosła wyrzucono. Zamiast tego po obu stronach lub też i w środku okrętu znajdują się w wodzie zanurzone koła ze skrzydłami, podobne do kół przy wodnych młynach. Skrzydła te biją wodę, i tym sposobem posuwają okręt naprzód, w tę stronę w którą sternik, to jest ten co okrętem kieruje, zechce. Takiemu okrętowi, szczególnie jeżeli jest grubą blachą pobity, to już i burza nie zaszkodzi, i przeciwne wiatry nad nim mocy nie mają. Okrętami temi odbywają obecnie ludzie podróże bardzo wielkie, rozwożą towary różnych części świata, całą ziemią nawet w krótkim czasie naokoło objeżdżają.

Tak przy pomocy boskiej coraz wyżej się rozwijają i udoskonalają dzieła przemysłu ludzkiego.

Historya kościoła Hodelskiego,

opowiedział Adam Burdzy, gospodarz z Grębowa.

W części Polski, którą Moskal pod swoje zagarnął panowanie, kilka mil na wschód od Sandomierza, między Opolem a Bełżycami w dawnem województwie Lubelskiem leży miasteczko Hodel. Licha to dzisiaj mieścina, zamieszkała po większej części przez żydów, którzy się trudnią szynkowaniem'

rzemiosłem i — szachrajką jak wszędzie. W całym obszernym rynku nie znajdziesz już, choćbyś ze świecą szukał, jednego katolika tak się oni tam zagnieździli. Za panowania jeszcze Stanisława Augusta ostatniego króla Polski, a nawet i później, bo są tacy co to pamiętają, Hodel wyglądał zupełnie inaczej; stały tam domki schludne, murowane kamieniczki, a nawet i ładny pałac z wieżyczką, otoczony naokoło dosyć szerokim rowem, napełnionym wodą z rzeczki płynącej w pobliżu Hodla, a w nim mieszkał jakiś znaczny urzędnik królewski, niby dzisiejszy rządca lub plenipotent u jakiego możnego pana, co zawiaduje jego całym majątkiem. Otóż i ów urzędnik mieszkał sobie tam, bo jak wiadomo Hodel, Wronów, Poniatowa, Kraciewice i wiele innych wiosek, dokoła należało do dóbr królewskich. Prócz niego było wielu jeszcze innych oficjalistów. Na jarmarki, których w Hodlu było kilka do roku, z wszystkich stron zjeżdzała się szlachta, włościanie i żydzi, zatem ruch bywał wielki, a korzyść nie mała dla mieszkańców którzy wyrabiali rozmaite naczynia z drzewa i żelaza, najwięcej bowiem trudnili się stolarką, kołodziejką, kowalką i ślusarką.

Dziś w Hodlu wszystko się zmieniło! w miejscu, gdzie dawniej były kamienice i dwór murowany, stanęły z ladajakiego drzewa nędzne chaty, z dziurawęmi dachami i pochylonemi ścianami, a przed każdą kupa śmieci i gnoju jak przed oborą. Z pałacu zaś owego urzędnika, dzisiaj zaledwie ślady tylko pozostały Jednakże i dzisiaj, każdy, komu tylko w tamte strony droga wypadnie, pewnie nie minie mieściny, by nie wstąpił i nie pomodlił się w tamtejszym kościele, przed ślicznym obrazem Matki Boskiej bolesnej, umieszczonym w wielkim Ołtarzu.

Otóż i ja nasłuchałem się już nie od jednego różnych rzeczy o owym kościele, postanowiłem przeto powracając właśnie od Lublina, dokąd za interesem chodziłem wstąpić i naocznie go oglądnąć — tembardziej że droga z powrotem tamtędy wypadała.

Może na jakie dobre pół mili od Hodla, widać już wysoką okopconą wieżę z gankiem, a na samym wierzchu złocony krzyż, który z daleka, bardzo ładnie się wydaje. Ponieważ już słońce kryło się za góry, przyspieszałem kroku, aby przed zmrokiem dojść do miasteczka i choć jaki taki znaleźć nocleg.

Spuściwszy się z ostatniego pagórka, wszedłem w brudną uliczkę Hodla. Długą chwilę błąkałem zanim natrafiłem na domek dość ładny zamieszkały przez katolika, poczciwego mieszczanina, który z miłą przyjął mię chęcią, i do przygotowanej już wieczerzy zaprosił. Po wieczerzy, że jeszcze czas było iść na spoczynek, posłałem po dzban piwa, które jak na Hodel dosyć było dobre i zasiadłszy na przyzbie zaczęliśmy gawędę to otem to o owem, aż przyszła kolej i na kościół; — co zaś i jak mi gospodarz mój opowiadał, choć po krótce opowiem.

Kościół Hodelski fundowany za czasów Kazimierza Jagiellończyka, przez możnego Pana polskiego, którego nazwiska na ścianie kościelnej doczytać się już nie można, był dwa razy rabowany, raz przez Szwedów, a drugi raz przez Moskali już w 1831 roku. Niedawno zaś temu, bo w 1865 roku wybuchł pożar przez nieostrożność zakrystyana, który źle lampę zagasił, i po raz trzeci wielkie poczynił szkody. Obraz Matki Boskiej bolesnej w wielkim ołtarzu, podobny zupełnie do Jarosławskiego u O. O. Dominikanów, mimo tych nieszczęśliwych wypadków, został ocalony prawie zawsze cudownym sposobem. W miejscu gdzie dzisiaj kościół, stał dawniej domek leśniczego który pilnował obszernych lasów królewskich. A były to ogromne lasy, bo ciągnęły się bez przerwy półkolem prawie od Końsko Woli, aż pod samo Opole. Prócz domku leśniczego, stało tylko kilka tu i owdzie rozrzuconych chat wieśniaczych, lecz nie w tym porządku, i nie w tem miejscu jak dzisiaj Hodel, ale cokolwiek dalej na wschód między rzeczką a lasem. Leśniczy był to człowiek poczciwy, dbający o dobro pod jego dozór oddane, dla tego też i rzadko w dzień a nawet w nocy przebywał w domu. Jako dobry sługa o suchym kawałku chleba wychodził raniutko z dworku aby nie wrócić aż późno w nocy. Wprawdzie nie raz smutno mu się robiło, gdy w domu zostawiał młodą żonę, którą kochał, smutno gdy jak aniołek ładne dziewczątko uwisło mu na szyi i prosiło miłym dziecinnym głosikiem „nie chodź Tatu, nie chodź!“ ale w takim razie leśniczy otarłszy ukradkiem na rzęsach wiszącą łzę, odpowiadał płaczącemu dziecku: nie płacz Handziu! Tato

przyjdzie nie długo, i Handzi, jak będzie grzeczna, przyniesie coś ładnego z lasu, a potem zarzuciwszy strzelbinę przez plecy wychodził milczący. — Tak lata upływały tym biednym ludziom. Handzia była to już spora dziewczynka o rumianem jak jabłuszko liczku, niebieskich oczach, i włoskach jasnych, a przytem żywa i wesoła; pomagała już dobrze matce w pracy koło domu. Raniutko wstawszy umyła się świeżą wodą, uczesała włoski, paciorek zmówiła pobożnie, zamiotła czysto dwie izdebki, dała dwom szczygłom chowanym w klatce, nad oknem, świeżej wody w miseczkę, i garstkę ziarna, i dalejże z krówkami do lasu. A byłoż co widzieć jak ona pasła? to nie tak jak nasze dzieci co to z batogiem w ręku pędzą bydło nie zważając dokąd czy ono tam będzie miało paszę na cały dzień, ot byle daleko od szkody, bo nawrócić się nie chce, choćby i na pustym ugorze, aby się tylko można z drugimi bez przeszkody pobawić, albo i usnąć spokojnie pod krzakiem. — O nie Handzia nie była taką, ona szła sobie przodem a posłuszne krówki za nią, dopiero znalazłszy gdzie bujną a pożywną murawę, stawała, krówki zaś schylały się i gryzły, dopóki je Handzia w inne nie zaprowadziła miejsce. Jednego dnia, powracała z swemi krówkami z lasu ku rzeczce gdzie je zwykle poiła, i śpiewała przytem ładną pieśń o Pannie Najświętszej, której się od matki nauczyła. W tem śpiewaniu tak się zatopiła, że nie spostrzegła jak krówki nad brzegiem stanęły i dalej nie szły. Dopiero po dobrej chwili Handzia przyszła do siebie, aliści patrzy a tu wodą płynie jakiś obraz. Handzia wydała okrzyk zdziwienia, Matka jej w ogródku usłyszała ten okrzyk, przybiegła, widzi zdziwioną córkę nad brzegiem rzeczki, a tuż u nóg jej prawie pływający obraz, otoczony jasnością. Bierze go do rąk, przypatruje się i poznaje ślicznie namalowaną na płótnie Matkę Bożą trzymającą na zbolałem łonie Syna. Zaraz na drugi dzień zaniosły obie znaleziony obraz do Opola do klasztoru, a gdy zakonnikom wszystko z szczerością opowiedziały ci z pomocą dobrych ludzi postarali się o to, że jeszcze w tym samym roku stanęła drewniana kaplica, w której ów obraz umieszczono. Wieść o zjawieniu się cudownem obrazu rozeszła się szeroko a mnóstwo pobożnych ciągnęło na cudowne

miejsce; kto zaś tylko szczerze i ze skruchą się pomodlił, pewnie nie odszedł bez pociechy. Ze składek, staraniem zakonników w Opolu zbieranych, stanął w kilka lat kościół murowany, który do dziś dnia stoi. Szwedzi i Moskale zrabowali go tak po dwa kroć że tylko gołe pozostały ściany, ale obraz Najświętszej Panny zawsze ocalał. Podczas napadu Szwedów, proboszcz ówczesny w raz z kosztownemi wotami ukrył go w stopniach wielkiego ołtarza. Przed okiem łupieżcy Moskala, ukrył obraz ten organista, niejaki Jan Obala. Ten bowiem gdy dostrzegł że kozaki już z pagórka ku miasteczku lecą, wpadł do kościoła z żoną i najstarszym synem, wyjął obraz z kosztownościami z ołtarza, i zaułkami dostał się szczęśliwie na przedmieście do poczciwego mieszczana, gdzie go na strychu między rupieciami ukrył Moskale wpadli do kościoła, gdy obrazu a właściwie kosztownych wotów o których wiedzieli, nie znaleźli potłukli i poniszczyli wszystko co im w ręce wpadło, i opuścili kościół. Przed 6 laty zaś, to jest w 1865 roku, gdy pożar prawie już cały kościół ogarniał, i ku wielkiemu ołtarzowi się zbliżał, kościelny wpadł tylnemi drzwiami od zakrystyi, i zniebezpieczeństwem życia, obraz cudowny z pośród płomieni po raz trzeci wyratował, a nawet o tyle był przytomny, iż drzwi żelazne od zakrystyi za sobą zamknął, i tym sposobem pożerczym płomieniom drogę zatamował. Wielka i to łaska Boża, bo w zakrystyi jak zresztą w każdej znajdowały się wszystkie co kosztowniejsze sprzęty, jako to ubiory kapłańskie, monstrancye, kielichy i wiele innych rzeczy. — Po dwóch pierwszych zniszczeniach kościół ofiarami pobożnych wznosił się dość szybko, po ostatniem ale zniszczeniu całkowitem, bo pożar i najmniejszej nie zostawił drobnostki, nie podniósłby się był może, gdyby nie Opatrzność Boża. W Wronowie, wiosce o pół mili odległej, przed dwoma laty znaleziono w polu obszerne rumowisko z piaskowego kamienia, widać musiał w tem miejscu istnieć jakiś pałac albo zamek. Dziedzic tamtejszy, któremu własnie kamień był potrzebny na owczarnią, kazał wydobywać go i do siebie znosić, robotnicy kopiąc natrafili na schody, które widać do jakiejś piwnicy prowadziły; jednakże bojąc się wleźć sami poszli do dworu i opowiedzieli dziedzicowi, ten zeszedł z kilkoma od-

ważniejszymi że światłem, i ujrzał się w obszernej piwnicy sklepionej, zarzuconej do koła, bronią rozmaitego rodzaju, a nawet były tam i duże ogromne armaty, w framudze w samym kącie stała okuta skrzynia, dobrze zamknięta, gdy ją otworzono, znalezli kilkanaście naczyń z samego srebra, jako to półmiski, kubki do picia, koneweczkę łyżki, i wiele innych rzeczy, w wartości jak mówią 100.000 złr. Wszystkie te kosztowności, prócz kubka srebrnego, któren dla siebie pan dziedzic zatrzymał, przeznaczył na odnowienie kościoła Hodelskiego, za co mu też mieszkańcy prawdziwą wdzięcznością codziennie się odpłacają. Robota teraz idzie sporo, i da Bóg na zimę wszystko już skończone będzie.

Wielkanoc w Rzymie.

Nie ma drugiego miasta w całym świecie, któreby o wielkanocnym czasie taką masą obcych z różnych krajów bywało zapełniane, jak Rzym, posiadający zarazem do przyjęcia i pomieszczenia tych gości ogromne place i budynki. Bywa najmniej ze 100,000 ludzi zgromadzonych na placu św. Piotra w czasie błogosławieństwa papiezkiego dawanego całemu światu w niedzielę wielkanocną. Głos Ojca św. brzmi w powietrzu śród ogólnej i rżeniem koni tylko przerywanej ciszy. Zaraz po przemówieniu papieskiem wszystkie dzwony stolicy z hukiem strzałów działowych głuszą okrzyki wydobywające się z wzruszonych serc słuchaczy, okrzyki na cześć Papieża i króla. Uroczystość ta jest ożywiona nadto duchem rzewności chrześciańskiej. Wszystkie bowiem stany, sztuka i przemysł, wielcy i mali stoją razem zmięszani w jednej masie pod balkonem św. Piotra. Ubogi mnich ociera się swoją włosienicą o jedwabie najznakomitszej pani, brunatny pielgrzym w sandałach z tobołkiem na plecach pcha się przez tłumy świetnych dostojników z czerwoną wstążką lub orderem u surduta i płaszcza. Wszystkich krajów mieszkańcy są tutaj.

Na balkonach, wzniesionych nad lewem skrzydłem narożnego domu, łączącego kościół św. Piotra z wspaniałą kolumnadą

placu, zbierają się posłowie w różnych narodowych ubiorach i wstęgach. Niezwykłe wrażenie robi paręset biskupów, siedzących zaraz za reprezentantami państw na najbliższych balkonach, wszyscy w wysokich białych mitrach na głowach.

W Wielki piątek odbywa się uroczysta droga krzyżowa. Od kaplicy do kaplicy postępują setki zamiejscowych księży, cały batalion żołnierzy papiezkich i dostojni ojcowie soborowi. W amfiteatrze tym, zaczętym przez cesarza Wespazyana a skończonym przez Tytusa i mogącym pomieścić w sobie 100,000 widzów, chrześcianie ginęli w pierwszych wiekach śmiercią męczeńską. Dlatego też urządzono tu stacye męki Pańskiej i papieże postanowili w Wielki piątek w tem miejscu odprawiać nabożeństwo z kazaniem i procesyą.

W wielką sobotę wieczór oświecają kopułę ś. Piotra, nazajutrz palą fajerwerk na Monte-Pincio. Trzy tysiące rac puszczano jedna po drugiej. Sam zamek wygląda jak ciemna waza, z której te ogniste kwiaty wytryskały a obraz ten cały odźwierciedlał się w żółtych falach rzeki Tybru, nad którą właśnie w tem miejscu wznosi się stary most Anioła.

Zagadki.

I.

Na **k** zacznij, będzie ptak,
Na **d** czarny w książkach znak,
Na **b** ludzie chodzą potem,
Na **m** kwaśne i nic potem.

II.

Jestem w polu i ogrodzie,
I służę wam ku wygodzie,
Bo mię często teraz jecie;

Rozwiązanie tych zagadek podamy w numerze następnym.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.

Wydano dnia 16. Września 1871.

Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.